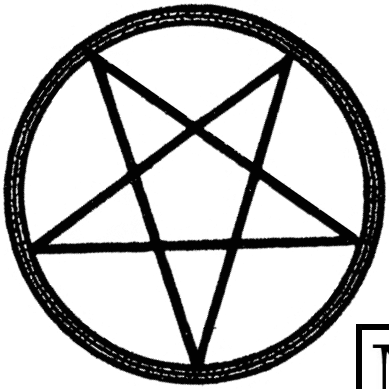
WERSJA DARMOWA

Księga Krzyku

MACIEJ KLIMEK



Klimek Maciej

No. /100

EGZEMPLARZ NUMEROWANY

WYDAWCA ARKADIUSZ SIEJDA

Sic Luceat Lux

WERSJA DARMOWA

WERSJA DARMOWA

Księga Krzyku

Maciej Klimek

Wydawca
Arkadiusz Siejda
Kalinowo 2026

WERSJA DARMOWA

Autor:
Maciej Klimek

Tytuł:
Księga Krzyku

Projekt okładki i stron tytułowych;
Opracowanie redakcyjne i korekty;
Opracowanie graficzne, skład, łamanie:
Arkadiusz Siejda

© Copyright by Wydawca Arkadiusz Siejda 2026
© Copyright by Maciej Klimek 2026

WYDANIE I
ILUSTROWANE

Druk i oprawa:
Mazowieckie Centrum Poligrafii
05-270 Marki ul. Słoneczna 3C
www.drukksiazek.pl

ISBN 978-83-68179-27-9

NOTA BIOGRAFICZNA



MACIEJ KLIMEK

(ur. 1996) – twórca związany ze współczesną polską sceną grozy, interpretator estetyki mroku oraz autor tekstów i grafik eksplorujących granice wyobraźni. Określa siebie jako „syna mroku i szaleństwa" – nie z przesady, lecz z potrzeby uchwycenia doświadczenia, które od lat kształtuje jego drogę twórczą: konsekwentnego mierzenia się z otchłanią i fascynacji tym, co niewyrażalne, nienazwane, wymykające się racjonalnemu opisowi rzeczywistości.

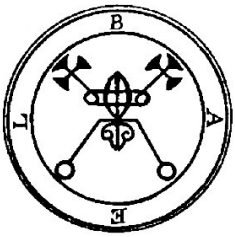
Przygodę z literaturą grozy rozpoczynał tradycyjnie – jako czytelnik poszukujący sensu i emocji ukrytych w tekstach klasyków gatunku. Szybko jednak zrozumiał, że sama lektura nie wystarcza: potrzebował uczestnictwa, działania, współtworzenia. Z tej potrzeby powstał autorski fanpage **W Witrynach Horroru**, poświęcony analizie i popularyzacji literatury oraz kultury grozy, a następnie projekt **Dom mody Klimkovitz**, w którym artysta łączy ilustrację z modą, przekształcając własne prace w unikatowe tekstylia o nadnaturalnej, ekspresyjnej stylistyce. Jako recenzent współpracuje z lokalnym środowiskiem twórców grozy, a jako grafik i projektant – tworzy rozpoznawalną estetykę, trafiającą do odbiorców ceniących niekonwencjonalne formy wyrazu.

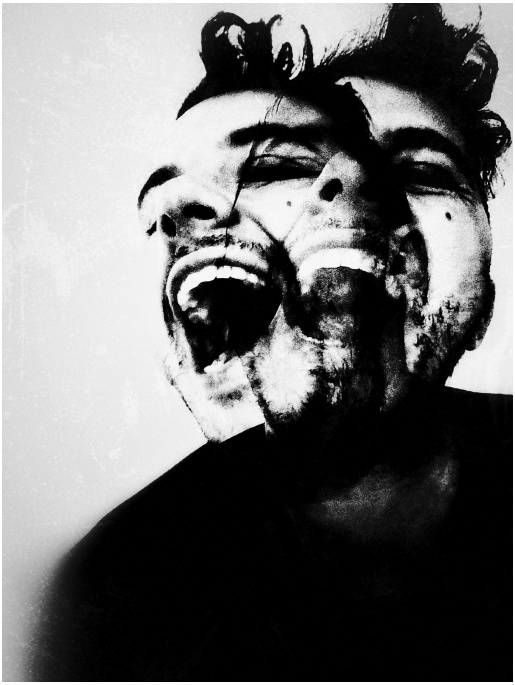
W ostatnich latach Klimek rozwija również działalność literacką. Jego opowiadania ukazały się w licznych projektach i antologiach, m.in. w inicjatywach *Scary100challenge* i *Dziwne100*, zbio-

rach *Nocne mary* (wyd. Lingua Mortis), *Droga przez otchłań* (wyd. Abyssos), *Antologia diaboliczna* (Wydawca Arkadiusz Siejda) oraz *Bękart* (wyd. Studio Grozy). Jego teksty publikowały również magazyny i ziny: „Grozownia 2024", „BizzaroCon 6", „Dziwne święta i o świętach dziwnie", „Grozownia 2025", „BizzaroCon 7". W chwili obecnej oczekuje na premiery kolejnych projektów z jego udziałem.

Prezentowana galeria *Księga Krzyku* jest przedsięwzięciem szczególnym – bardzo osobistym i powstającym na przestrzeni roku pełnego wyzwań oraz zmian. W pracach Klimkovitza – alter ego artysty – między pikselami, fakturą i symboliką odnaleźć można ślady doświadczeń twórcy przełożone na język nadnaturalności. To projekt dojrzewania artystycznego, mozolnie budowany od podstaw, poprzez próby, błędy i konsekwentne doskonalenie warsztatu. Powstał dzięki wytrwałości autora oraz wsparciu odbiorców, którzy stali się integralną częścią jego drogi.

Groza towarzyszy mu jako stały, egzystencjalny towarzysz – i, jak sam twierdzi, będzie obecna w jego życiu aż do samego końca.





PRZEDMOWA WYDAWCY

Księga Krzyku jest świadectwem osobliwej podróży – zanurzenia w ciemność, która stawia przed czytelnikiem lustro – czasem pęknięte, czasem zniekształcające – zmuszając do konfrontacji z pytaniem, które powraca ciągle jak echo: ile z tego mroku należy do świata, a ile do nas samych? W świecie, który obsesyjnie wygładza wszelkie pęknięcia, Maciej Klimek decyduje się wykonać ruch odwrotny: otworzyć je jeszcze szerzej i zajrzeć do środka.

Autor prowadzi nas przez proces stopniowego rozpadu, w którym obsesja staje się jednocześnie schronieniem i przepaścią. Nie jest to jednak zwykła historia o szaleństwie. To opowieść o metafizycznej inicjacji – przewrotnej, perwersyjnej i dalekiej od akademickich modeli duchowości. Krok za krokiem obserwujemy, jak bohater porzuca bezpieczeństwo konwencjonalnej rzeczywistości i pozwala się pochłonąć temu, co woła go z otchłani.



Tekst odsłania strukturę upa-dku i inicjacji, podczas gdy obrazy pokazują to samo doświadczenie na poziomie czysto emocjonalnym, cielesnym, niemal organicznym. W rezultacie „Księga Krzyku" staje się nie tyle albumem, ile procesem: przejściem przez kolejne fazy rozpadu, oczyszczenia i konfrontacji z cieniem.

WERSJA DARMOWA

Cykl pięćdziesięciu sześciu grafik Macieja Klimka stanowi ikonografię tego procesu. Rozmnożone twarze, puste oczodoły, larwy pełznące z ust, zdeformowane maski, sylwetki pozbawione rysów… Wszystko to są formy *nigredo*, czarnego etapu Wielkiego Dzieła, w którym adept zostaje poddany rozpuszczeniu, oczyszczeniu i konfrontacji z tym, kim naprawdę jest, gdy odpadnie cała fasadowa estetyka osobowości.

To projekt, w którym tekst i obraz funkcjonują jako dwa sprzężone ze sobą wektory – dwie linie napięcia prowadzące czytelnika w głąb tej samej, coraz bardziej klaustrofobicznej przestrzeni.

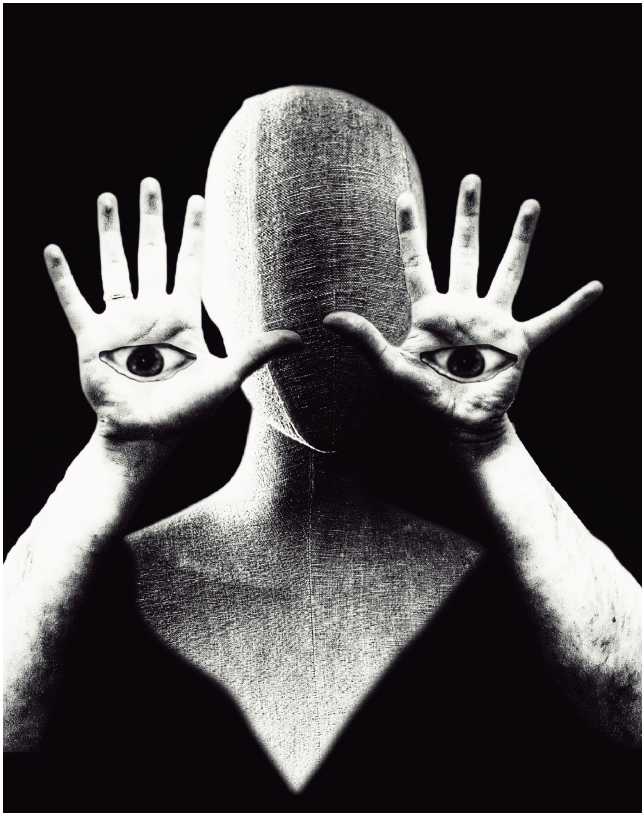
Oddajemy w Państwa ręce opowieść surową, intensywną i wymagającą, oprawioną w wizualną grozę. Opowieść o krzyku, który rodzi się cicho – głęboko w środku – zanim wreszcie przetnie powietrze, by odcisnąć swoją pieczęć na ciele świata.

Arkadiusz Siejda,
Kalinowo, 01 stycznia 2026 r.



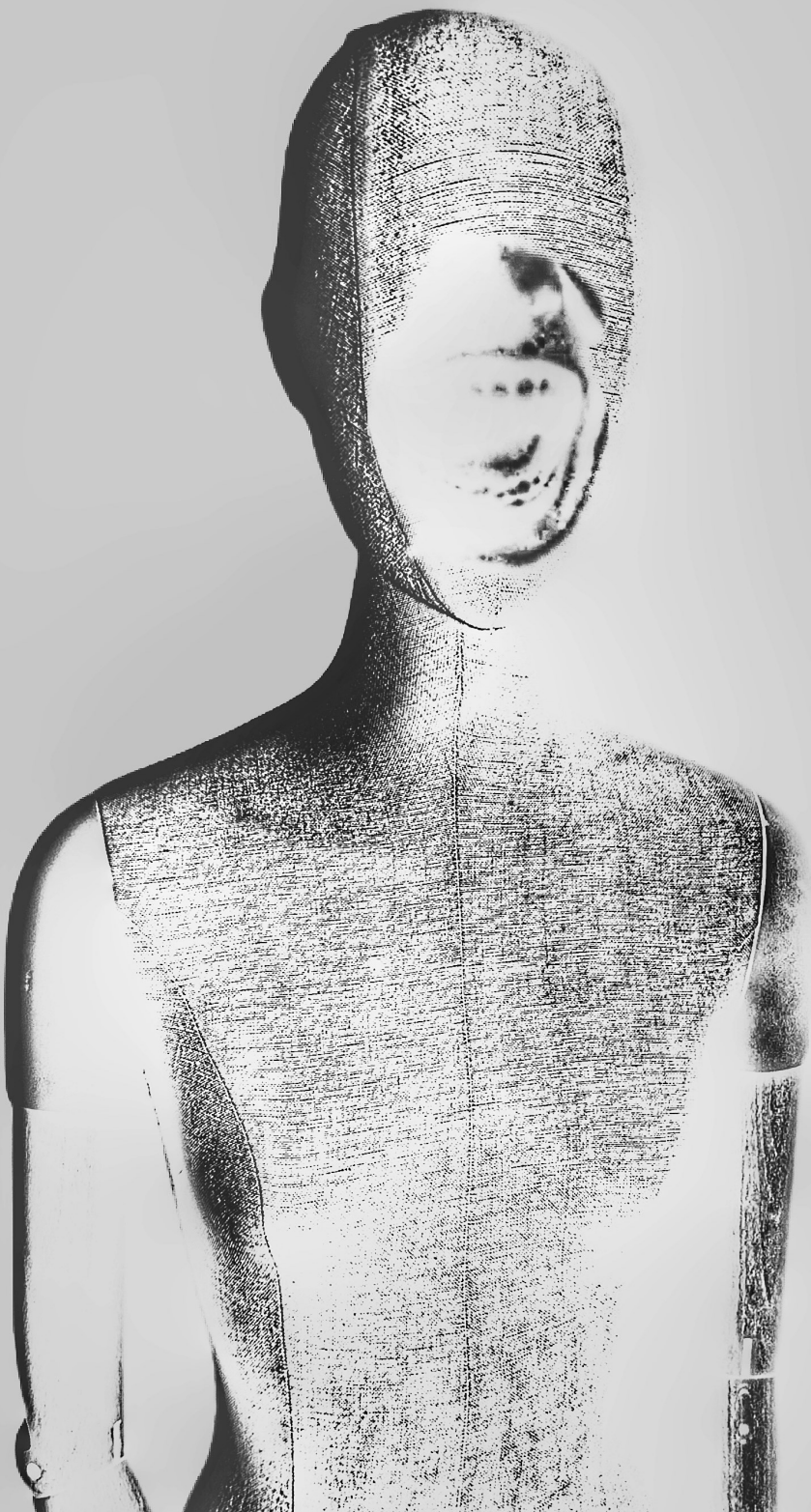
WERSJA DARMOWA

KSIĘGA KRZYKU



WERSJA DARMOWA





























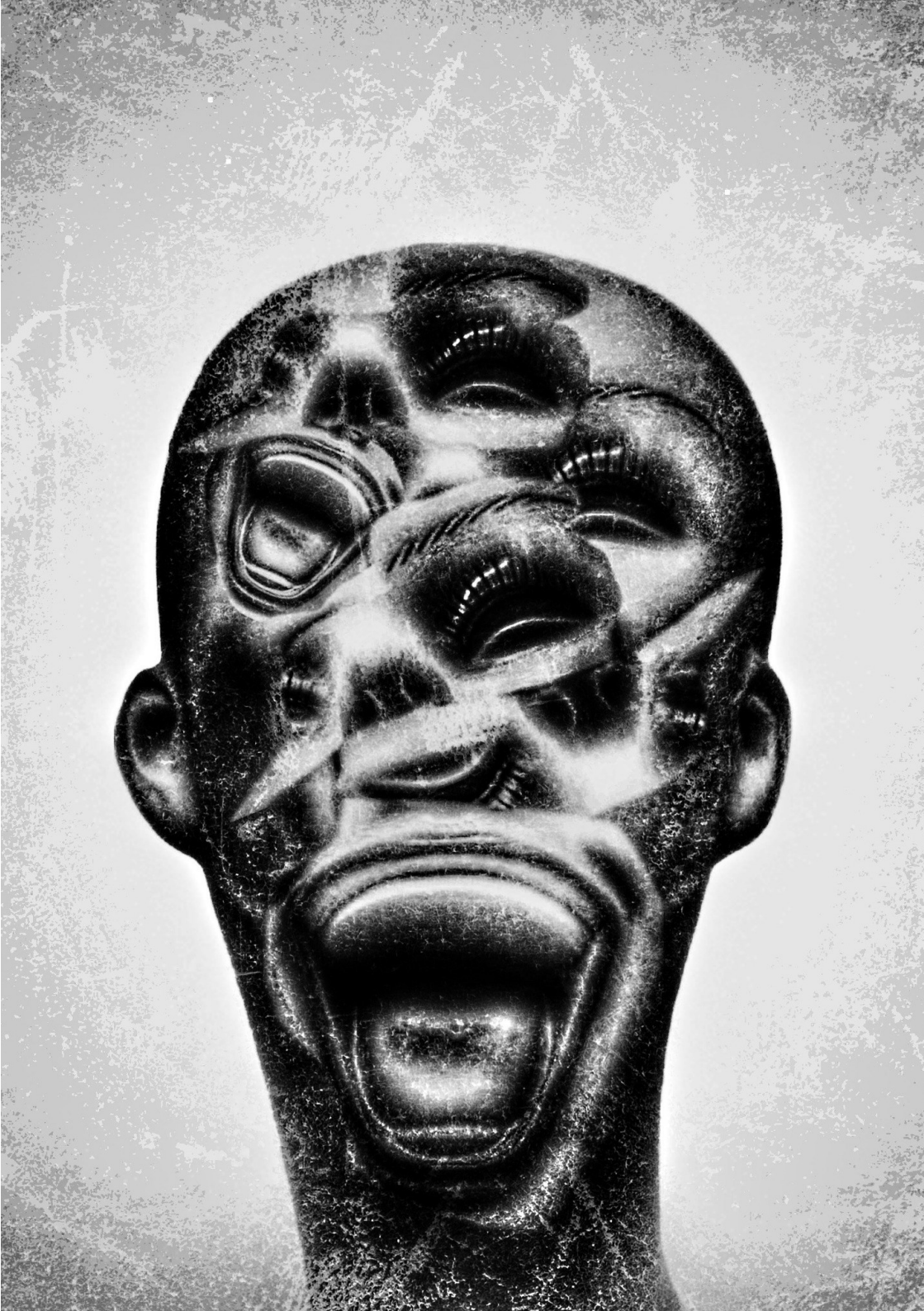













Z
E
A















WERSJA DARMOWA



WERSJA DARMOWA

Obudziłem się z piekącym bólem szyi, jakby coś niewidzialnego jeszcze przed chwilą zaciskało się na moim gardle. Pod karkiem tkwiła książka, ta sama, którą wertowałem do późnej nocy, dopóki zmęczenie nie przygniotło mnie do poduszki.

Literatura grozy dała mi kierunek w życiu, a jednocześnie otworzyła przede mną wrota, których nie potrafię już zamknąć. Przez lata zagłębiałem się w ciemność tylko jako czytelnik, ale w pewnym momencie to już nie wystarczało. Chciałem czegoś więcej. Chciałem dotknąć mroku własnymi rękami, poczuć jego temperaturę, usłyszeć jego głos. Marzyłem, by świat zadrżał pode mną tak, jak drżałem ja, kiedy bohaterowie fikcyjnych historii stawali twarzą w twarz z tym, co niepojęte.

Sztuczne światło wysłużonego monitora nie znało odpowiedzi na dręczące mnie pytania – a jeśli nawet je posiadało, z pewnością nie zamierzało się nimi ze mną podzielić. To kwadratowe pudło, będące przez ostatnie miesiące moim jedynym oknem na świat, pełniło rolę niemego konfesjonału: z cierpliwością największych spowiedników przyjmowało moje kolejne przekleństwa, okraszone nerwowymi uderzeniami w klawiaturę. A jednak, mimo tej pokrętnej intymności, nie potrafiło ulżyć mojej frustracji, gdy zanurzałem się coraz głębiej w poszukiwanie własnego celu.

A potem zaczęły pojawiać się poszlaki – blogowe plotki, zasłyszane strzępy informacji, internetowe szepty o grupie nazywanej Bractwem Akolitów. Większość uznałaby to za tanią creepypastę, lecz ja wiedziałem, że za tą miejską legendą kryją się prawdziwi ludzie, którzy nie godzą się na cichą stagnację w zaciszu własnych domów. Jednostki podobne do mnie: nieco zwichrowane, obsesyjnie zakochane w nadnaturalności, dryfujące gdzieś w odmętach sieci. Obiecałem sobie, że prędzej czy później ich odnajdę.

Dawni znajomi patrzyli na mnie jak na wariata, gdy próbowałem tłumaczyć im zasady okultyzmu i kabały. Śmiali się – oczywiście, że tak! Ale ostatecznie przekonamy się, kto będzie śmiał się ostatni. Ha! Pokażę im wszystkim, że literatura grozy potrafi nieść coś znacznie większego niż fikcję.

Spojrzenie w prawo utwierdziło mnie w przekonaniu, że mimo przeciwności nie mogę się poddać. Osiem regałów gęsto wypełnionych polską grozą było dla mnie źródłem natchnienia, światłem i jedynym stałym towarzystwem w chwilach, gdy własna obecność mi

nie wystarczała. To oni byli moimi najwierniejszymi sprzymierzeńcami – dlatego wiedziałem, że nie mogę ich zawieść w poszukiwaniu własnej tajemnicy.

Równo ułożone rzędy katalogów Ars Diavoli, IX-ki, Kości i Lingua Mortis stanowiły bijące serce pokoju; ich cicha, uporządkowana obecność dodawała mi otuchy. Gdy mój wzrok błądził po półkach, zatrzymując się na kolejnych dekoracjach i grzbietach książek, nagle usłyszałem dźwięk tak delikatny, a zarazem tak znaczący, że natychmiast wyrwał mnie z zamyślenia.

– E-mail? – wyszeptałem zdziwiony.

Szybko wprowadziłem hasło i naprowadziłem kursor na ikonę skrzynki. Poza wiecznym spamem – starym, niechcianym lokatorem mojego adresu – pojawił się tam jeden, zupełnie nowy komunikat. Wielkie, wyraźne litery głosiły:

„PRÓBA POWIETRZA".

Tylko zwykły łut szczęścia sprawił, że powstrzymałem się przed krzykiem, który obudziłby połowę kamienicy.

Nowicjuszu.

Twoje starania zostały zauważone i uznane za godne dalszej drogi. Zostałeś wybrany.

Prawdziwego Akolitę poznaje się po niezłomności. Pozwolono Ci wejść głębiej i podjąć próby, które całkowicie odmienią Twoje życie. Poznasz wiedzę, zdobędziesz mądrość i otworzysz oczy na prawdę niedostępną dla tłumu. Wstąpisz do naszego Bractwa.

Stwórca ustanowił Ścieżkę Pięciu Prób. Droga ta stoi przed Tobą otworem. Dowiodłeś, że nie kieruje Tobą zwykła ciekawość, lecz wezwanie płynące z głębi serca.

– Nareszcie… – wymamrotałem do siebie. – Czekałem na to całe miesiące.

Pierwszy krok – tak rozpoczynał się kolejny akapit wiadomości – *jest Próbą Powietrza, progiem świadomości, nazywanym także Przebudzeniem Cienia. To moment, w którym nowicjusz staje twarzą w twarz z tym, co ukrywa przed samym sobą: własnym lękiem, gniewem i nieczystością intencji. Cień, dotąd uśpiony, domaga się wzlotu – a tylko żywioł Powietrza potrafi wznieść go ku wolności.*

Tuż za drzwiami znajdziesz przesyłkę. Wewnątrz kryje się czarna farba i maska.

O wybranej porze udasz się do wszystkich kościołów w mieście i naniesiesz na ich drzwi Znak Baela. Załóż maskę i stań się jak wiatr – niewidzialny, nieuchwytny, drapieżny.

Po zapieczętowaniu miejsca uderz prawicą w środek pieczęci, powtarzając trzykrotnie:

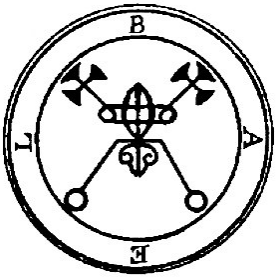
„Exurgent mortui et ad me veniunt".

Każda próba fałszu, manipulacji lub nieszczerości zostanie uznana za złamanie zasad inicjacji – z czego zostaną wyciągnięte konsekwencje.

Pamiętaj: od chwili pierwszego sygnału jesteś pod nieustanną obserwacją.

Tylko pełna autentyczność pozwoli Ci iść dalej.

B.A.



– Wybrali mnie! Do diabła, mnie! – wyrzuciłem z siebie, coraz bardziej podniecony. – Spośród tylu innych, którzy marzyli o poznaniu największych tajemnic rządzących Wszechświatem!

Słowa odbijały się od ścian, brzmiały obco, jakby wypowiedziane przez kogoś zupełnie innego. Jeśli na tym etapie wciąż tliły się we mnie jakiekolwiek wątpliwości, rozwiały się całkowicie, gdy otworzyłem drzwi i zobaczyłem karton stojący na wycieraczce. W środku znajdowały się przedmioty opisane w wiadomości.

Delikatnie uniosłem maskę do światła. Puste, nienaturalnie gładkie oczy manekina patrzyły na mnie z wymuszoną obojętnością. Wyglądały… znajomo.

Nie potrafiłem jednak przypomnieć sobie, skąd znam tę twarz. Czy widziałem ją kiedyś w sklepie z dekoracjami na Halloween? A może w jakimś starym filmie grozy, którego tytułu zapomniałem, ale którego obrazy powracały nocami bez zaproszenia?

Przeszukiwałem pamięć w desperackim pośpiechu, lecz żaden trop – żaden znajomy kształt, żaden odległy błysk skojarzenia – nie chciał wyłonić się z ciemności.

„Nieważne" – pomyślałem.

Przedstawienie już się rozpoczęło.

***

Ostre, jesienne powietrze wbijało się w skórę policzków niczym tysiące mikroskopijnych szpilek, a ja biegłem przed siebie – roześmiany, rozedrgany i absolutnie wolny. Wolny jak wiatr.

Syreny policyjne zawyły dopiero wtedy, gdy byłem już bezpiecznie pochłonięty przez mrok zaułków; ich bezradny, opóźniony lament tylko potwierdzał, że tej nocy jestem nietykalny.

Wspomnienia pierwszych, nieporadnych linii pieczęci – drżących, jeszcze niepewnych dłoni – wracały do mnie falami. Tej nocy wszystko mogło skończyć się katastrofą, lecz wewnątrz wiedziałem już z absolutną pewnością, że ta droga została dla mnie przeznaczona. Łacińska sentencja, którą wytatuowałem sobie na przedramieniu – pozornie zwykły napis, w istocie zaklęcie – pulsowała ciepłem, dodając otuchy i siły.

Wiedziałem też, że mimo trzeciej nad ranem nie jestem sam; cienie po drugiej stronie ulicy poruszały się w idealnie zsynchronizowanym rytmie wraz z moimi krokami. Obserwowali mnie – tak, i czułem z tego powodu niemal chorą dumę.

W pewnej chwili, zauważyłem idącą w moim kierunku drobną staruszkę. Gdy tylko się zbliżyła – rozpalony własną potęgą i bezkarnością – pchnąłem ją z całych sił, a ona runęła na metalowe barierki z cichym, zduszonym jękiem.

„To się stara prukwa zdziwi, gdy zamiast wymodlonego bożka, zobaczy jedynie ciemność" – pomyślałem, czując, jak perwersyjna rozkosz rozlewa się po moich wnętrznościach niczym gorzkie wino. W domu wpajano mi szacunek dla wszystkiego, co święte; tym większa była moja satysfakcja z profanacji tej religijnej iluzji.

Nikt spoza kręgu nie wiedział, od jak dawna działają Akolici – ani jak precyzyjnie potrafią wyciągnąć człowieka z otchłani nicości. Ja wiedziałem już wystarczająco dużo, by z niecierpliwością oczekiwać kolejnego znaku. Byłem pewny jednego: prędzej czy później znów się odezwą – a ja będę gotów na wszystko.

W pracy natychmiast zauważyli zmianę w moim zachowaniu – a co dziwniejsze, zaczęli nawet rozmawiać ze mną jak z człowiekiem, którego istnienie ma znaczenie. Ludzie, którzy wcześniej mijali mnie bez słowa, nagle wykazywali zainteresowanie: wypytywali, komentowali, a nawet słuchali, kiedy coś opowiadałem.

Po powrocie do domu poczułem znajome, niepokojące mrowienie na widok zielonej diody sygnalizującej nową wiadomość. Niczym uzależniony, który dawno utracił panowanie nad własnymi odruchami, rzuciłem się w stronę biurka.

W skrzynce czekała kolejna wiadomość – wysłana z adresu zupełnie innego niż poprzednia, tak jakby ktoś chciał upewnić się, że trop pozostanie nie do prześledzenia.

Wziąłem głęboki oddech i kliknąłem.

PRÓBA ZIEMII

Nowicjuszu.

Z satysfakcją odnotowujemy pomyślne wykonanie pierwszego zadania. Przekroczyłeś granicę, której większość nigdy nie ośmieli się dotknąć.

Drugi etap jest Próbą Ziemi – żywiołu gęstości, dziedzictwa, pamięci, oraz wielkiego cyklu narodzin i śmierci.

Ziemia jest archiwum świata. Przechowuje imiona zmarłych, ich gniew, nadzieję i rozpacz; jest powolna, ale nieubłagana. To ona wchłania ciało, lecz zachowuje esencję.

Nasz Stwórca naucza, że prawdziwe przebudzenie wykuwa się w największym zagęszczeniu, ciemności i śmierci. Dlatego kolejnym krokiem będzie jej świadome przywołanie i przyjęcie jako fundamentu nowej świadomości.

Zadanie jest precyzyjne:

Udaj się nocą na cmentarz. Wybierz grób osoby niedawno zmarłej, której śmierć była nagła i tragiczna: wypadek, samobójstwo, morderstwo lub inny gwałtowny zgon.

Im świeższa ziemia, tym silniejsza energia śmierci i rozpaczy.

Przed sięgnięciem po poświęconą ziemię uzyskaj zgodę zmarłego. Zapal czerwony znicz i wypowiedz formułę invocatio:

BERALD, BEROALD, BALBIN, GAB, GABOR, AGABA.

POWSTAŃ, POWSTAŃ. ŻĄDAM I ROZKAZUJĘ CI.

Obserwuj płomień: jeśli utrzyma się, masz pozwolenie – weź garść ziemi i odejdź w milczeniu. Jeśli zgaśnie, oznacza to odmowę ducha. W takim przypadku wycofaj się bez słowa i powróć o tej samej porze następnego dnia.

Pamiętaj: zmarli zachowują własną świadomość i wolę. Jedni odpowiadają przychylnie, inni okazują kaprys lub gniew. Traktuj ich z szacunkiem.

Nie zwlekaj.

Zejdź do korzeni. Zaproś Ziemię – i to, co w niej drzemie.

B.A.

***

Kolejny tydzień rozpłynął się w bezkształtną sekwencję – pasmo powtarzalnych klisz, w których byłem jednocześnie obserwatorem i uwięzionym aktorem. Za dnia bezmyślnie wystukiwałem cyfry dla bezdusznej korporacji, a wieczorami pochylałem się nad lokalną gazetą, śledząc z rosnącą uwagą rubryki nekrologów, jakby to właśnie tam miały pojawić się odpowiedzi na pytania, których nigdy nie zadałem na głos.

Literatura grozy, którą od lat pochłaniam, powtarza niezmiennie: cmentarze są przestrzeniami osobliwymi – pełnymi bytów, które często rozpaczliwie szukają powrotu do świata żywych. Jednak żadna książka, nawet ta najśmielsza, nie była w stanie przygotować mnie na emocje, których doświadczałem, zbliżając się do świeżo usypanej mogiły wisielca.

Cicho inkantując wyuczoną formułę, poczułem na sobie natarczywy, niemal przenikający wzrok czegoś, co stało tuż za drewnianym krzyżem. Nie widziałem niczego konkretnego – zaledwie subtelne drżenie powietrza – lecz instynkt podpowiadał mi, że nie jestem tam sam.

I wtedy, w najmniej odpowiednim momencie, świeca zgasła.

W pierwszej chwili próbowałem się pocieszyć, że to tylko wiatr. Jednak w tej ciszy, w tej przestrzeni, wiedziałem doskonale, że to nieprawda. Próba zakończyła się niepowodzeniem, a ja zmuszony byłem powrócić kolejnej nocy – tym razem z sukcesem zapraszając śmierć do swojego mieszkania.

***

Akolici twierdzili, że dają mi swobodę wyboru miejsca, czasu, drogi. Ale ta „swoboda", zaczynała brzmieć jak ponury żart. Coraz częściej miałem wrażenie, że każdy mój krok jest tylko odtwarzaniem czegoś, co oni już dawno zapisali. Nie wiem gdzie, nie wiem czym – ale czułem, że plan mojego życia leży w ich rękach, jak księga, którą otwierają na kolejnej stronie.

Kiedy szedłem ulicą, miałem pewność, że ktoś podąża za mną i wbija swój wzrok w mój umysł. Gdy się odwracałem, widziałem tylko pustkę, ale powietrze było jakby „zgniecione" po czyjejś obecności – jakby rzeczywistość nie zdążyła domknąć drzwi po zdematerializowanym bycie.

Czarny cień przemykał na granicy mojego widzenia, za szybko, by go uchwycić, za często, by nazwać przypadkiem.

Przestałem ufać odbiciom.

W witrynach sklepowych moje oczy patrzyły na mnie inaczej – szerzej, mroczniej, jakby czyjeś spojrzenie podszywało się pod moje własne.

Oni wiedzieli wszystko. Dokładnie i precyzyjnie.

***

Kolejne czyszczenie paznokci pod zlewem ponownie skierowało moje myśli ku niedużemu słoikowi ze świeżą cmentarną ziemią. Kiedy przed tygodniem przyniosłem ją do swojego mieszkania, atmosfera zgęstniała tak bardzo, że chwilami miałem wrażenie, iż ściany zaczynają oddychać razem ze mną – ciężko, nierówno i obco. Moje dłonie stały się brudne – czarne od ziemi, która zachowała w sobie pamięć tego nieszczęsnego trupa. Nie mogłem ich doczyścić. Szorowałem do krwi, a mimo to wciąż wyglądały tak, jakby coś nieusuwalnego wgryzło się w skórę i zostało tam na zawsze.

W moim sercu zakwitła rozpacz – nie przez to, że moje dłonie były splamione, lecz dlatego, że wraz z tą przeklętą garścią cmentarnej ziemi do mojego domu weszło coś, co zdawało się wysysać ze mnie każdy oddech.

Dźwięk nadchodzącej wiadomości przeciął gęstą mgłę myśli i na chwilę pozwolił mi zaczerpnąć powietrza. Zakręciłem wodę, ruszyłem biegiem przez korytarz, jakby od tej prędkości zależało moje dalsze istnienie. Tydzień oczekiwania wysysał ze mnie siły, każdy poranek zaczynałem od sprawdzania skrzynki – i każdą porażkę tłumiłem kolejną porcją nadziei. A teraz… zielona dioda pulsowała jak wołanie. Kliknąłem.

PRÓBA WODY

Nowicjuszu.

Każdy czyn odciska ślad w strukturze rzeczywistości. Doceniamy Twoje wysiłki i determinację, które towarzyszą Twoim działaniom – dlatego trzeci etap ma być zarówno kontynuacją ścieżki, jak i wynagrodzeniem podjętego trudu.

Woda jest żywiołem więzi i oczyszczenia.

To ona łączy to, co rozdarte, koi to, co wzburzone, i służy wielkiej transformacji. Woda posiada pamięć, zatrzymuje wspomnienia i emocje, przechowuje je jak zwierciadło duszy.

Dlatego Próba Wody bada Twoją zdolność do stworzenia prawdziwej, zakorzenionej w sercu więzi.

Nasz Pan jest surowym, lecz zarazem miłosiernym Ojcem. Z Jego woli następnym krokiem na Twojej drodze jest „Miłość".

Znajdź bezpańskiego psa. Przyjmij go pod swój dach. Otocz go opieką i stwórz z nim więź.

Niech Twoje serce zostanie zanurzone w nowym, życiodajnym doświadczeniu. Pozwól, aby miłość oczyściła Twoje wnętrze i spłukała z niego wszelki brud, który nagromadził się w nim przez lata.

B.A.

– Hmmm… – mruknąłem pod nosem, odchylając się na krześle.

„Zadanie dziwne, ale przynajmniej nieskomplikowane. W parku ostatnio wałęsają się bezpańskie psy. Wątpię, żeby ktokolwiek miał coś przeciwko, jeśli jednego z nich przygarnę…" – pomyślałem.

„Właściwie pomysł wydawał się nawet sensowny – kontynuowałem rozmyślania. – Przydałoby się nieco więcej ruchu w mieszkaniu, trochę życia, trochę energii. Nigdy co prawda nie miałem psa, ale co to za filozofia? Nakarmię, napoję, dam mu koc i będzie dobrze".

Tak przynajmniej sobie powtarzałem – choć gdzieś w głębi, pod warstwą wymuszonego entuzjazmu, poruszyło się we mnie delikatne drżenie, którego nie potrafiłem jeszcze nazwać.

***

Czy ktoś kiedyś twierdził, że posiadanie psa nie jest problemem? Nic bardziej mylnego! Ta hałaśliwa, kudłata kula energii łasi się do mnie przy każdej okazji, przy tym hałasując jak pułk artyleryjski pod Waterloo. Od dnia, w którym przyniosłem psiaka do mieszkania, miałem już trzy wizyty sąsiadów, pięć wiadomości od administracji spółdzielni i niezliczoną liczbę nieprzyjemnych spojrzeń na klatce schodowej. Wygląda więc na to, że psy wcale nie łagodzą obyczajów – raczej wystawiają je na próbę.

Wczoraj Futrzak – bo takie właśnie nadałem mu imię – z lubością pogryzł mój limitowany egzemplarz „Magii Praktycznej" z kolekcji Ars Diavoli. Gdy zobaczyłem oderwane fragmenty okładki sterczące z jego pyska, naprawdę niewiele brakowało, żebym wyrzucił go za drzwi. Jeśli to ma być „miłość", to zaczynam doceniać utraconą samotność. A jednak… w tym chaosie było coś dziwnie poetyckiego. Jakby obecność tego żywiołowego stworzenia wypychała mnie z hermetycznej skorupy, w której tkwiłem od miesięcy.

Trzeba przyznać to z pełną uczciwością: Futrzak okazał się stworzeniem wymagającym, lecz zarazem niezwykle skutecznie odciągał mnie od monitora, przed którym dotąd spędzałem niemal całe dnie i noce. Wielogodzinne przeszukiwanie internetu, rozmowy z równie obsesyjnymi pasjonatami grozy, próby rozwikłania śladów prowadzących do Bractwa Akolitów – wszystko to straciło dla mnie znaczenie.

Wraz z wejściem na ścieżkę wtajemniczenia zacząłem dystansować się od internetowych znajomych, jakbym nieświadomie oddzielał się od świata profanów. Czułem się ważniejszy, wybrany, podczas gdy inni wciąż karmili się tanią sensacją.

Futrzak wniósł w moje życie odrobinę ruchu i nieoczekiwanej radości, lecz nawet jego obecność nie zdołała przyćmić jednego fak-

tu: w głębi serca nieustannie oczekiwałem kolejnej wiadomości od Bractwa.

Mijały miesiące, a ja wciąż nie otrzymałem żadnego powiadomienia. Każde popołudnie brzmiało tak samo, każda noc odbijała się echem zawiedzionych oczekiwań. W mojej duszy zaczęła pulsować czarna, nienasycona pustka – napięcie, które dawno przekroczyło granice zwykłego zainteresowania i coraz wyraźniej przypominało głód, od którego nie sposób się uwolnić.

Gdyby nie obecność Futrzaka, który swoim ciepłem i codzienną spontanicznością potrafił na chwilę zaszyć pęknięcia w moich myślach, dawno już zapadłbym się w tę pustkę bez reszty. Jego towarzystwo działało jak kotwica – jedyna rzecz, która powstrzymywała mnie przed ostatecznym rozpłynięciem się w bezsilnej rozpaczy.

W chwilach ciszy czułem, że to właśnie on trzyma mnie jeszcze przy zdrowych zmysłach. Nie Akolici – ci wielcy ignoranci i ich zdradliwe obietnice.

Tylko ta mała, uparta istota, która pojawiła się w moim życiu w najmniej spodziewanym momencie.

***

Kolejna wiadomość przyszła akurat w chwili, gdy wsypywałem karmę Futrzakowi. Przez moment sądziłem, że to tylko złudzenie wygenerowane przez nienasycone pożądanie. Ale nie. Na ekranie komputera widniał nowy nadawca.

Nie wierzyłem własnym oczom.

A jednak – po miesiącach milczenia – znów się odezwali.

Futrzak skakał wokół mojej nogi, domagając się uwagi, lecz teraz, widząc że nawet to mnie nie porusza, ostatecznie skulił ogon i wskoczył na łóżko.

Otworzyłem wiadomość.

Futrzak cicho zaskomlał, a gdy odwróciłem się do niego gniewnie, schował głowę pod poduszkę.



PRÓBA OGNIA

Nowicjuszu.

Miłość przepływa jak woda – i nigdy nie jest taka sama. Miłość jest najsilniejszym i najokrutniejszym z uczuć. W jej imię dokonano największych dzieł i największych zbrodni.

Próba Ognia jest nożem Abrahama uniesionym nad synem, jest ofiarą z najdroższej esencji. Przygarnięte zwierzę stało się centrum Twojego świata. Teraz będziesz musiał je poświęcić.

W parku im. Ignacego Jana Paderewskiego alejki tworzą niemal idealny pentagram. Udaj się tam z psem tej nocy. W geometrycznym środku figury, na omszałym kamieniu położonym w samym sercu gwiazdy, zakończ jego życie, wypowiadając następujące słowa:

RWĄCA KREW NA KAMIENIU OFIARNYM.
W MARTWYM DOMU, W REZYDENCJI DLA UMARŁYCH.
NIECH SPŁYNIE ZE MNIE WSZELKIE NIESZCZĘŚCIE,
A TEN, KTÓRY ZOSTANIE POŚWIĘCONY,
NIECH ODEJDZIE JAKO TWÓR BEZIMIENNY
I NIGDY NIE POWRÓCI.

Patrz, jak światło w jego oczach gaśnie. Nie martw się – pozostanie on w Twoim sercu na zawsze. Zaakceptuj stratę z godnością. Gdy będzie po wszystkim, zostaw ciało na miejscu.

Dopiero wtedy będziesz gotów przejść do ostatniego zadania. Wiemy, że się wahasz. Wiemy, że serce krzyczy.

To właśnie znaczy prawdziwa ofiara.

B.A.

***

Ci, którzy twierdzą, że zwierzęta nie mają duszy, nigdy nie patrzyli w oczy umierającemu psu.

Futrzak do ostatniej sekundy wierzył, że to zabawa. Machał tym małym, głupim ogonkiem tak mocno, że aż trząsł całym sobą. Patrzył na mnie tymi swoimi czarnymi, mokrymi oczami, przepełnionymi bezgranicznym zaufaniem.

„Idziemy na spacer, zwykły nocny spacer, prawda? Prawda, mój panie?".

Nawet kiedy nóż wszedł głęboko, nie zawarczał, nie próbował uciec. Tylko cichutko, rozpaczliwie zaskomlał – raz, drugi – jakby pytał: „Dlaczego, mnie opuściłeś?".

I wtedy to zrozumiałem: zdradziłem jedyną istotę na świecie, która kochała mnie bardziej niż siebie samego.

Kiedy leżał na tym zimnym głazie, w środku tego przeklętego pentagramu, krew tryskała mu z gardła na moje zbrodnicze dłonie. Patrzyłem, jak gaśnie w nim światło – to samo światło, które codziennie witało mnie, gdy wracałem do domu. Jeszcze drgnął raz, drugi, próbował podnieść łebek w moją stronę, jakby chciał powiedzieć: „Dlaczego, mój panie?". A potem znieruchomiał. Małe ciałko, jeszcze ciepłe, leżało w kałuży własnej krwi, a ja klęczałem obok i wyłem jak zwierzę.

Nie mogę przypomnieć sobie, jak wróciłem do domu. Pamiętam tylko, że wpadłem do mieszkania, cały we krwi, drżąc tak mocno, że ledwo trzymałem się na nogach. Rzuciłem się na ten pieprzony komputer – piekielne wrota, przez które wpuściłem do swojego życia tych potworów. Wyrwałem go razem z kablami i z rykiem cisnąłem przez okno.

– Niech ktoś w końcu zadzwoni na policję, niech mnie zamkną, niech mnie rozstrzelają! – wyłem do pustych ścian.

Zabiłem jedynego przyjaciela, który naprawdę mnie kochał.

Zabiłem go, żeby przypodobać się ludziom, których nigdy nie widziałem.

Nie chcę już żadnej „drogi". Nie chcę żadnej „mocy".

Chcę tylko, żeby przestało boleć.

***

Kolejne dni stały się mrocznym i smutnym mirażem. W pracy byłem głuchy na wszystko i wszystkich; monotonne stukanie w klawiaturę stało się jedyną odpowiedzią, jaką potrafiłem z siebie wykrzesać.

Choć próbowałem nie okazywać emocji, w środku byłem wrakiem. Po tym, co zrobiłem, jedyną rzeczą, jakiej pragnąłem, było zniknięcie. Rozpuszczenie się. Zapadnięcie się w nicość, gdzie nikt nie zadaje pytań.

Jednak los – albo coś, co się za nim kryło – miał inne plany.

Pewnego popołudnia, wracając do mieszkania, poczułem na klatce schodowej gryzący zapach. Coś ciężkiego, słodkawego, gnijącego. Na wycieraczce przed drzwiami leżała paczka. Cuchnąca, obślizgła od wilgoci, jakby ktoś wyjął ją z rynsztoka. Moje serce dudniło z przerażenia tak mocno – jakby miało za chwilę eksplodować. Zanim jeszcze podniosłem paczkę i zaniosłem ją do stęchłej nory, którą nazywałem domem, wiedziałem już, co w niej znajdę.

Na wierzchu tkwiła przekrzywiona koperta, a na niej słowa, zapisane pismem tak równym, że aż nienaturalnym: „UPOMNIENIE".

Mimo gniewu, mimo żalu, mimo bólu, który osiadł we mnie jak ołów, wsunąłem drżące palce pod krawędź koperty i powoli wyjąłem list.

Nowicjuszu.

W dotychczasowych próbach wykazałeś lojalność, jakiej oczekujemy od Akolity, a także emocje wskazujące, że Twoja inicjacja wymaga odmiennego prowadzenia. Twoje ostatnie czyny ukazały emocjonalną słabość i pogrążyły Cię w stagnacji, dlatego zmuszeni byliśmy zmodyfikować zasady i udzielić Ci kolejnej szansy. Twoja ścieżka została dostosowana.

W dołączonym do listu pudełku znajdziesz posiłek, który musisz przyjąć, aby nabrać sił i zmazać winy, by przejść do następnego etapu.

Stwórca naucza, że spożywając organy i członki naszych braci, przyjmujemy ich siłę i ogień. Wierzymy, że po wykonaniu tego kroku na dobre opuszczą Cię wątpliwości, a umysł odzyska klarowność niezbędną do kontynuowania ścieżki.

Ogień nie znosi niedokończonych dzieł. To, co nie zostało spalane do końca, musi zostać rzucone w płomienie ponownie.

Spal swoje lęki i słabości w świętym ogniu przemiany!

B.A.

Nienawidziłem ich z całą intensywnością, na jaką było mnie stać. A jednak w chwili, gdy ponownie się odezwali, nie potrafiłem stawić oporu. Nie dlatego, że uraza we mnie wygasła, lecz dlatego, że – mimo wszystko – tylko oni nadawali mojemu życiu jakikolwiek sens.

Paczka leżała na stole niczym ołowiany sarkofag. Im dłużej na nią patrzyłem, tym bardziej chciałem ją od siebie odsunąć. Nie mo-

głem jednak pozwolić sobie na słabość. Nie miałem już nic do stracenia. Dosłownie nic.

Gdy otworzyłem karton, uderzył we mnie jeszcze intensywniejszy fetor. Gęsty, słodko-gnilny smród, taki, który osiada na języku i wbija się w migdałki. Żołądek podszedł mi do gardła; zwymiotowałem prosto na podłogę.

A potem spojrzałem.

Przez moment byłem pewien, że zobaczę Futrzaka: jego małe, poćwiartowane ciałko zwinięte w kartonie, z wyrwanymi oczami i językiem na wierzchu. Ulga, która mnie zalała, była tak obrzydliwa, że niemal się roześmiałem.

To nie był pies. To była ludzka ręka. Zimna, sina, z palcami wykręconymi jak szpony starca, który w ostatniej chwili próbował wyrwać się z objęć śmierci. Skóra pergaminowa, poprzeciągana błękitnymi żyłami. Paznokcie żółte i łamliwe, drobne włoski na kostkach jeszcze trzymające się resztek życia. Zapach był jednoznaczny: formalina pomieszana z wczesnym rozkładem, taki, jaki unosi się w chłodniach prosektoryjnych, gdzie ciała leżą w szufladach numerowanych białą farbą. Ta woń wdarła się do mojego umysłu, działając niczym wyrafinowany afrodyzjak, który budzi najciemniejsze i najbardziej hańbiące namiętności.

Boże-Boże-Boże wybacz, że byłem ciekawski, że otworzyłem, że dotknąłem, że powąchałem, że nie wyrzuciłem od razu do śmieci, że nie spaliłem, że nie uciekłem, że wciąż tu siedzę i patrzę w tę grozę, na palce, na paznokcie, na własne podniecenie. Boże dlaczego mnie opuściłeś!

Już nigdy nie zbliżę się do ludzi, nigdy do mięsa, nigdy do niczego, co miało twarz albo imię albo szczekało, albo merdało ogonem, nigdy, nigdy, nigdy…

Czy ludzkie mięso trzeba marynować jak dziczyznę? Czy od razu można jeść? Czy trzeba wyciąć żyły żeby nie było gumowate? Czy smażyć na maśle? Czy na oleju? Czy na smalcu? Czy na własnym tłuszczu, który wypływa z palców jak się je podgrzewa w mikrofali ping ping ping 3 minuty 800 wat?

Włożyłem pierwszy palec do ust i żułem, żułem, żułem, i myślałem, że będzie jak zgniłe jajko, albo jak stary ser pleśniowy. Ale nie było – było miękkie i słodkawe. Drugi kawałek, trzeci, czwarty, piąty – wszystkie pięć palców, jak pięć prób, jak pięć kurewskich ramion gwiazdy z parku Paderewskiego.

Kości chrupią między zębami jak orzeszki, jak chipsy, jak sucharki na pogrzebie. Czyszczę je językiem, bo nie mogą zostać ślady, bo oni patrzą, oni zawsze patrzą przez dziurkę od klucza, przez kamerę w mikrofali, przez oczy Futrzaka, które zostawiłem w parku…

To nie był dobry człowiek – mówię sobie – to nie był dobry człowiek, bo dobrzy ludzie nie kończą w kartonach z napisem „fragile", bo dobrzy ludzie mają pogrzeby, i trumny, i kwiaty… Dobrzy ludzie nie kończą w mikrofalówkach, dobrzy ludzie nie mają mikrofalówek…

Jestem grzecznym pieskiem! Zjadłem wszystko i wylizałem miskę! Czy jestem dobrym pieskiem?

***

Pierwszą myślą po otworzeniu oczu było dziwne przeświadczenie, że pali mi się mieszkanie – że leżę pośród rozszalałych języków ognia, które liżą moje ramiona, policzki, szyję. Zalał mnie wszechobecny zapach spalenizny, gryzący i ciężki, jakby ktoś rozpalił ognisko tuż obok mojej głowy. W nozdrzach czułem też wyraźną nutę siarki, tak intensywną, że aż łzawiły mi oczy.

Zerwałem się z sofy, gorączkowo strącając z siebie wyimaginowane płomienie, jak człowiek, który przed chwilą przebiegł przez pożar i nie do końca wierzy, że przeżył. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że przecież nic się u mnie nie pali.

Mimo to, otworzyłem okna jedno po drugim, próbując przewietrzyć pomieszczenie i zebrać myśli. Zanim zdążyłem choć trochę ochłonąć, rozległo się pukanie do drzwi – krótkie, zdecydowane, jakby ktoś wiedział, że jestem po drugiej stronie.

Zamarłem.

Nie spodziewałem się nikogo, nigdy nikogo się nie spodziewam. A jednak nagły zapach siarki i spalenizny mógł mieć realną przyczynę, więc przez chwilę pomyślałem, że to strażacy, policja albo zaniepokojony sąsiad.

Kręcąc kluczem w zamku czułem, jak serce wali mi o żebra. W głowie kłębiły się obrazy migających kogutów straży pożarnej, zwałów dymu, chaotycznego zamieszania na klatce.

Ale gdy uchyliłem drzwi – korytarz był pusty. Cisza panowała absolutna, światło na czujnik ruchu się nie zapaliło, co oznaczało, że

nikt nie przechodził tą drogą od dłuższej chwili. Już miałem zamknąć drzwi, kiedy mój wzrok padł na wycieraczkę.

Leżała tam koperta. Czarna, niemal połyskująca, jakby wciąż mokra od wilgoci. Na jej powierzchni widniał, niepokojąco znajomy krój pisma z tytułem: „PRÓBA ETERU".

Nowicjuszu.

Człowiek, którego prawica została Ci przekazana, za życia był jednym z najwierniejszych Akolitów, którego zgubiło jego własne szaleństwo. Jego esencja i jego siła pomogą skierować Cię prostą drogą ku ostatniej próbie.

Zanim jednak dostąpisz zaszczytu wtajemniczenia, musisz dokonać najwyższej ofiary: symbolicznej śmierci własnego „ja" i narodzin w nowej, prawdziwej postaci. Solve et Coagula – rozpuść, by związać na nowo.

Piąty etap jest Próbą Eteru – żywiołu spośród żywiołów, pierwotnego tchnienia, z którego wyrasta cały porządek świata i który przenika wszystko. To właśnie eter łączy powietrze, ziemię, wodę i ogień – i prowadzi ku Wielkiemu Dziełu, którym masz się stać.

Wybierz dowolną osobę, która stanie się Twoim substytutem. Nasyć wybraną ofiarę własną krwią. Gdy krew zostanie przyjęta, przebij jej serce stalowym gwoździem, dokładnie w linii splotu słonecznego, jednym, zdecydowanym uderzeniem. Zrób to tylko raz – precyzja jest tu ważna, a czas działa od tej pory na Twoją niekorzyść.

Bądź zimny i skuteczny.

Dopiero wtedy umrzesz dla starego świata i otworzysz oczy na prawdę.

Wiesz, gdzie musisz się udać. Pamiętaj o czasie!

B.A.

Dźwięk windy, niski, metaliczny jęk lin, wyrwał mnie z zamyślenia. Stałem jeszcze na korytarzu, z listem w dłoni, gdy całe piętro nagle się rozjaśniło. Światła, które przed chwilą były martwe – zapaliły się jednocześnie, wszystkie naraz, jakby ktoś przekręcił jeden wielki włącznik w piekle.

I wtedy ich zobaczyłem.

Rzędy postaci w czarnych habitach, nieruchome jak posągi. Stali wzdłuż ścian, w idealnych odstępach, kaptury głęboko nasunięte na twarze. Żadnego oddechu. Żadnego drgnienia. Tylko palce – blade, długie, kościane – wskazujące w milczeniu ku drzwiom windy.

Jak na komendę, zsynchronizowanym ruchem zdjęli kaptury.

I spojrzałem na swoje własne oblicza.

Dziesiątki moich twarzy. Moje rysy, moje włosy, moje usta wykrzywione w identycznych, szeroko otwartych krzykach grozy, które nie miały prawa istnieć. Oczy puste, czarne, jakby ktoś wydłubał im tęczówki i zostawił tylko dziury. Patrzyli na mnie – głodni i spragnieni.

Drzwi windy rozsunęły się z westchnieniem stali.

Upadłem na kolana.

Na przeciwległej ścianie kabiny wisiał drewniany krzyż – prosty, surowy, przesiąknięty krwią. Na nim, rozpięty niczym Chrystus – mój umiłowany i zamordowany przyjaciel-pies. Małe ciałko rozciągnięte do granic, łapy przybite, pyszczek otwarty w bezgłośnym krzyku.

Spływająca pod krzyżem krew (jeszcze ciepła, jeszcze parująca) układała się w alchemiczną sekwencję: SOLVE ET COAGULA.

Litery zsuwały się w dół, a mój świat zamieniał się w wir przypominający upadek Szatana – spiralną degradację, w której sam ruch stawał się formą wiecznego potępienia. Usłyszałem własny krzyk, oderwany ode mnie i stłumiony dystansem – jakby wydobywał się z obcego źródła, a moje gardło było jedynie narzędziem jego wybrzmienia.

Potem przyszła ciemność. Ostatnia myśl, zanim straciłem przytomność, była prosta i straszna: Nie ma już odwrotu.

***

Wstałem z posadzki; beton zostawił na skórze siatkę zimnych odcisków. Spojrzałem w kierunku windy – wszystko wróciło do „normalności". Nie było już Akolitów. Nie było ukrzyżowanego Futrzaka. Byłem sam. Sam pośrodku mroku.

Skoro nie istnieje już droga powrotna, a jedynym przejściem pozostaje kres człowieczego istnienia, niech zatem dopełni się to, co nieuchronne.

Krew.

Rozciąłem lewą dłoń głęboko, aż do kości. Ciepła, gęsta struga spłynęła do kielicha, którego zawartość przelałem do butelki z reszt-

kami wina. Czerwień rozlała się w czerwieni – idealnie, bez śladu różnicy. W świetle jarzeniówek wyglądało to jak najczystszy cabernet.

Wyszedłem na miasto, kierując kroki ku opuszczonym, podupadłym zabudowaniom na jego obrzeżach – przestrzeniom, które od lat stanowiły schronienie dla różnych wyrzutków społeczeństwa.

W głębi jednej z opuszczonych ruin, na spróchniałej, rozpadającej się ławce, siedział mężczyzna o zapuszczonej, odpychającej prezencji – jedna z tych postaci, które życie od dawna spychało na sam skraj społecznego cienia. Kołysał się lekko, mrucząc pod nosem „Jezu, ufam Tobie" do pustej butelki. Nie zauważył, kiedy podszedłem. Zdziwił się, kiedy podałem mu następną.

– Na zdrowie, bracie – powiedziałem.

Wypił łapczywie, do dna. Oblizał wargi. Nawet się nie skrzywił.

Jego ciało przez pół życia stanowiło ściek dla wszelkich trucizn tego świata – moja krew była jedynie kroplą w morzu, które dawno go pochłonęło. Gwóźdź spoczywał w kieszeni, gotowy. Pozostało tylko jedno serce, które musi ucichnąć, abym mógł wspiąć się na szczyt świata.

***

Stałem się oprawioną w skórę Księgą Krzyku, gdy piętnastocentymetrowy gwóźdź w moich zakrwawionych łapach tańczył jak opętany, wbijając się raz po raz w wyschniętą, pergaminową klatkę piersiową tego ludzkiego ochłapu. Pod wpływem uderzeń kości pękały z dźwiękiem przypominającym rozgniatane i miażdżone manekiny, a z dziury w mostku tryskała czarna, zgęstniała posoka, cuchnąca uryną, zgniłym alkoholem i rozkładem, który zaczął się już dawno, jeszcze zanim jego serce przestało bić. Każdy cios rozrywał resztki spróchniałych płuc i sflaczałego serca, wydłubując z nich kawałki czarnej, galaretowatej mazi, która spływała po moich przedramionach. Jego paznokcie, długie, pożółkłe, z czarnym brudem pod spodem, jeszcze przez moment drapały moją bluzę, a potem rozluźniły się, bezwładne, jakby ktoś wyciągnął z nich wszystkie ścięgna naraz.

Spojrzałem w dół i zobaczyłem trupa: usta rozwarte tak szeroko, że pękły kąciki, z których wypływała pienista, zielonkawa flegma zmieszana z krwią; oczy wywrócone, że widać było tylko białka poprzecinane pękniętymi naczyniami; dziura w piersi wielkości pięści,

w której coś jeszcze bulgotało i syczało, jakby resztki życia próbowały uciec przez ten piekielny otwór.

Nie potrafię racjonalnie wyjaśnić tego stanu, jednak sam akt rozpruwania ludzkiego ciała wywoływał we mnie nieodpartą, pierwotną przyjemność – falę ekstazy, której nie byłem w stanie się oprzeć.

W odróżnieniu od ofiary złożonej z Futrzaka, która pozostawiła po sobie pustkę i wyrzuty, zabicie człowieka przyniosło głęboką, niemal transcendentną satysfakcję – intensywne, fizyczne i duchowe podniecenie.

W trakcie wielokrotnego wbijania długiego, zardzewiałego gwoździa w klatkę piersiową ofiary doznawałem narastającego napięcia erotycznego; w kulminacyjnym momencie, gdy życie ostatecznie uchodziło z ciała, doszło do erupcji mojej życiodajnej esencji.

Wtedy opadłem bez sił na kolana. W nozdrzach miałem smród krwi, rozkładu i śmierci. Pochyliłem się. Zbliżyłem usta do ciepłej jeszcze posoki i zacząłem ją spijać.

Nie potrafię określić, jak długo trwało moje zatracenie w tym akcie makabry, lecz gdy w końcu podniosłem się z lepkiej, czerwonej kałuży, otarłem oczy z mieszaniny potu i posoki – dostrzegłem na zabrudzonej, złuszczonej ścianie jedno słowo: CZAS.

Wielkie, krwiste litery spływały po ścianie grubymi strużkami, zostawiając na betonie długie, lepkie smugi.

Wcześniej tego napisu nie było. Jestem tego pewien – rozmawiałem z tym trupem dokładnie w tym miejscu, a ściana pozostawała wówczas szara, naga i pozbawiona jakiegokolwiek śladu.

„CZAS" – muszę się spieszyć!

***

Na końcu korytarza znajdowało się przejście zakończone łukiem. Taśma ostrzegawcza wisiała poszarpana, jakby ktoś przeciął ją pazurami, a krzyczące z tablic zakazy wstępu brzmiały teraz jak kpina… albo ostrzeżenie, którego nikt przy zdrowych zmysłach nie odważyłby się zignorować.

Wejście do piwnicy znajdowało się dokładnie tam, gdzie – ku mojemu zdumieniu – je pamiętałem. Myśl ta uderzyła mnie nagle i niepokojąco: czy rzeczywiście byłem tu wcześniej?

Coraz częściej nawiedzały mnie niepokojące przebłyski: krótkie, nieproszone migawki miejsc i zdarzeń, które wydawały się boleśnie znajome.

Z lampką telefonu uniesioną niczym prowizoryczne berło zszedłem po drewnianych schodach, które skrzypiały pod stopami, jak gdyby próbowały mnie ostrzec – albo powstrzymać. Czułem, jak wilgoć piwnicy wciska mi się pod skórę, a wzrok ciemności prześwietla mą duszę.

Znalazłem się w pustym ceglanym wnętrzu, naprzeciw którego wznosiły się stare, masywne dębowe drzwi. Na ich powierzchni widniała namalowana czarną farbą pieczęć demona, a w jej samym centrum tkwił przygwożdżony list.

Akolito!

Każda z prób, którym zostałeś poddany, miała jedno zadanie: oczyścić Twoje zmysły i namiętności, złamać Twoje złudzenia i przygotować cię na prawdę, która potrafi zarówno wyzwolić… jak i unicestwić.

Eter stał się punktem skupienia, w którym ogień, woda, powietrze i ziemia zamknęły się w doskonałej geometrii pentagramu, oczekując na ostateczny akt przemiany. Jesteś gwoździem Baela, osią pentaklu, która spina żywioły i nadaje im kierunek.

Twoje czyny doprowadziły Cię do granic, których nie przekracza nikt, kto pozostaje uwiązany do ludzkiej moralności. Poznałeś naturę iluzji dobra i zła – i świadomie wzniosłeś się ponad nią, wybierając ścieżkę poznania.

Służby podążają już Twoim tropem.

Jeśli podczas wykonywania ostatniego zadania potrafiłeś poskromić własne namiętności i zachować chłodną precyzję – portal pozostaje dla Ciebie otwarty. Możesz przejść na drugą stronę i wejść do bezpiecznej przystani, gdzie Twoje dawne życie umrze, a nowe stanie się dziełem wielkości. Wstąpisz na szczyt hierarchii. Staniesz się jednym z nas – tym, który włada żywiołami, ludźmi i królami.

Jeżeli jednak pozwoliłeś, by emocje wzięły nad Tobą górę i straciłeś bezcenny czas podczas Próby Eteru, przez co lustrzany portal zdążył się zamknąć, pozostają Ci tylko dwa wyjścia:

1. Ocalić doczesne istnienie, poddać się służbom i stanąć przed ludzkim wymiarem sprawiedliwości za swoje czyny – co ostatecznie wymaże Cię z księgi Bractwa, albo:

2. Złożyć w ofierze dotychczasowe życie i rozpocząć cały cykl ponownie, z pełną świadomością, że kolejne próby będą surowsze.

Do zobaczenia po drugiej stronie, nasz Bracie, nasz Demonie.

B.A.

Gdy doczytałem ostatnie zdanie, z góry dobiegły mnie ciężkie kroki, a po chwili ujrzałem snopy światła latarek, sunące po schodach i kierujące się wprost do piwnicy. Otworzyłem ciężkie drzwi, wpadłem do środka i zatrzasnąłem za sobą skrzydło, zamykając je ciężkim, żelaznym ryglem.

Wnętrze rozświetlały setki świec, których płomienie drżały w złudnie bezwietrznym powietrzu. Na podłodze widniał ogromny, precyzyjnie nakreślony pentagram. W jego centrum stała wysoka konstrukcja przykryta czarnym suknem; po przeciwnej stronie umieszczono prosty taboret, nad którym zwisała ciężka, lniana pętla.

Pentagram pulsował światłem – najpierw czerwonym, potem sinym, aż w końcu począł gasnąć, jakby tracił moc. Zrozumiałem, że to zły omen. Bez wahania dopadłem przykrytego obiektu i jednym szarpnięciem zdarłem materiał.

Pod suknem znajdowało się monumentalne, bogato zdobione lustro. Choć wiekowe, emanowało kosmicznym blaskiem: chłodnym, pulsującym, głębokim. Na jego górnej ramie wyżłobiona była pieczęć Baela, a pod nią połyskiwał łaciński napis:

„FONS COGNITIONIS EST HOMO" – źródłem poznania jest człowiek.

W tej samej chwili w drzwi uderzył taran. Policjanci byli tuż za mną.

Wyciągnąłem drżącą dłoń ku tafli lustra. Była miękka jak żywa substancja, lecz po sekundzie zgęstniała i z powrotem stwardniała do postaci zimnego szkła.

– Nie! – krzyknąłem, cofając się o krok. – Nie teraz! Otwórzcie portal! Proszę!

Z korytarza dobiegł kolejny łomot. Drewno zaczynało pękać.

Wtedy na powierzchni lustra pojawiły się słowa, jakby wypalone z wewnętrznego żaru:

JESTEŚ WCIĄŻ WIĘŹNIEM WŁASNYCH NAMIĘTNOŚCI.
SKALAŁEŚ ŚWIĘTĄ OFIARĘ RZĄDZĄ MORDU.
FONS COGNITIONIS EST HOMO.

Litery rozpłynęły się, a szkło ukazało moją postać. Zakrwawioną, karykaturalną, zmęczoną. Z szeroko otwartymi oczami szaleńca. Z twarzą istoty, która przegrała, bo nie mogła zapanować nad własną naturą.

Deski w drzwiach zaczęły pękać jedna po drugiej.

Wszedłem na taboret i zacisnąłem pętlę na szyi. Lniany sznur był szorstki, przesiąknięty kurzem i starym, cierpkim potem – zapachem niepokojąco znajomym, jakby należał do innej wersji mnie, której nie potrafiłem już sobie przypomnieć.

„Zostało mi już niewiele CZASU – pomyślałem. – Być może za mało nawet na śmierć".













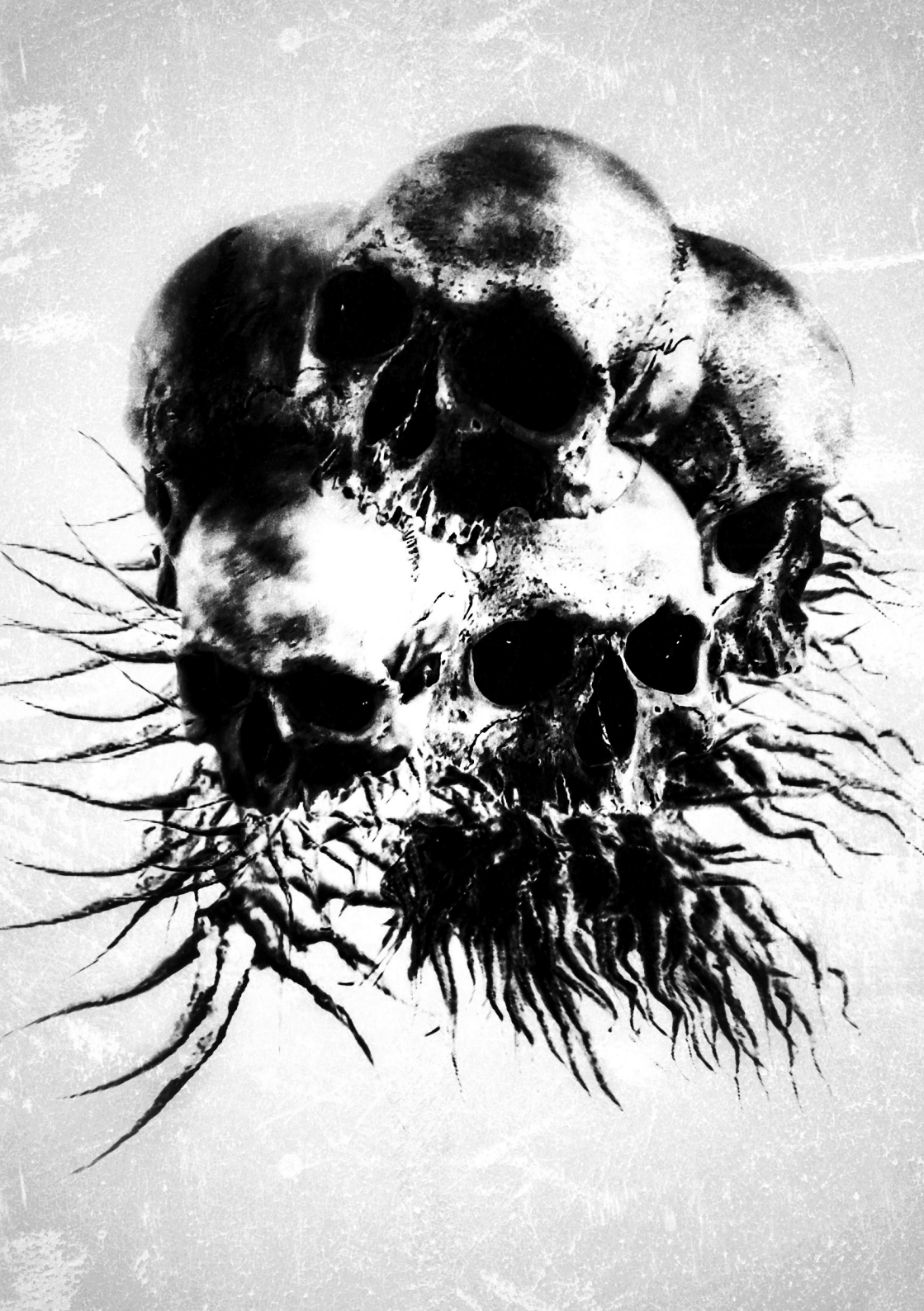

























BE
HATE



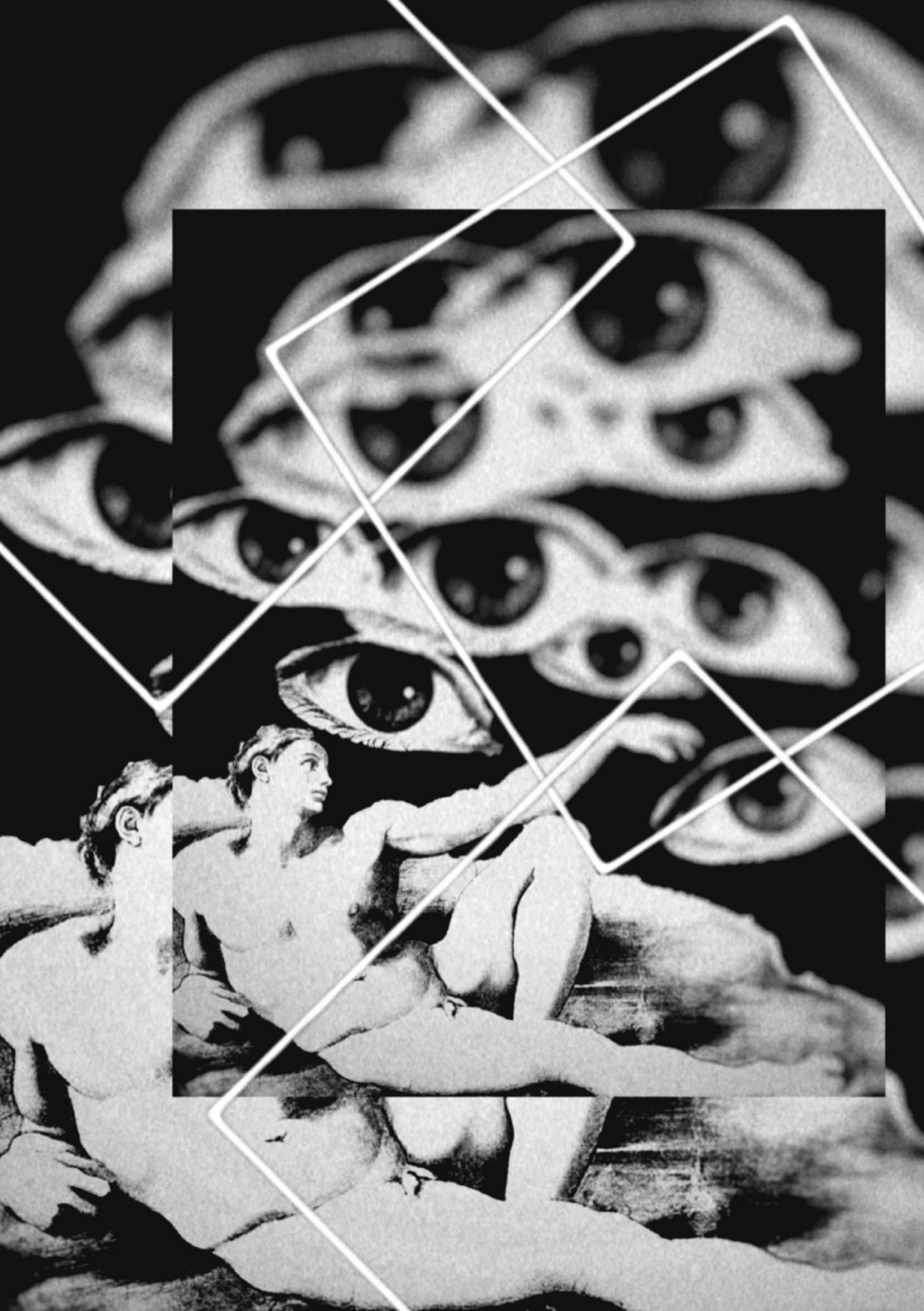














WERSJA DARMOWA